

Warszawa, dnia 1 kwietnia 2016 r.



**PIERWSZY PREZES
SĄDU NAJWYŻSZEGO
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**

**Przemówienie z okazji Zgromadzenia Ogólnego
Sędziów Trybunału Konstytucyjnego
w dniu 20 kwietnia 2016 r.**

*Szanowny Panie Prezesie, Szanowni Panie i Panowie Sędziowie Trybunału
Konstytucyjnego! Szanowni Zebrani! [Etc., tytuły stosownie do okoliczności]*

Spotykamy się w trudnych dla prawników czasach. Dlatego też proszę wybaczyć, że – rezygnując z wieloletniego obyczaju właściwego tego rodzaju zgromadzeniom – nie będę wygłaszała typowego przemówienia na temat judykatury TK oraz wzajemnych stosunków pomiędzy Trybunałem a reprezentowanym przeze mnie Sądem Najwyższym. Te kwestie schodzą dzisiaj na bok. W chwili bowiem, kiedy przychodzi nam mierzyć się z trudnymi wyzwaniem, trzeba przypominać o rzeczach podstawowych i sięgać do nagromadzonych doświadczeń, i na tej podstawie poszukiwać rozsądnych rozwiązań. I o tym powinniśmy w tym gronie dyskutować.

Pozwolę sobie rozpocząć od refleksji na temat konstytucji i rządów prawa. W RP ciągle obowiązuje Konstytucja z 1997 r. Jest to akt normatywny wysokiej jakości i nowoczesny, mimo że z pewnością niepozbawiony wad. Dotychczas my jako środowisko prawnicze czuliśmy się pod jej rządami w miarę pewnie, pielęgnując kelsenowską ideę konstytucjonalizmu i sądownictwa konstytucyjnego. Uważaliśmy za niezbitą gwarancję mocy i trwałości Rzeczypospolitej istnienie Trybunału Konstytucyjnego. Zabrakło nam jednak chwili namysłu i coś przeoczyliśmy. Nie zadaliśmy sobie pytania, czy Konstytucja RP (rozumiana i formalnie – jako akt normatywny, i materialnie – jako zbiór norm podstawowych) przystaje do „konstytucji” polskiego społeczeństwa? Innymi słowy, czy społeczeństwo potrafi układać swoje

stosunki według litery tej Konstytucji, jaka obowiązuje na skutek jej uchwalenia przez Zgromadzenie Narodowe i przyjęcia przez Naród w referendum?

Dla prawnika jest to pytanie bardzo niewygodne, ponieważ na gruncie normatywnym nie da się na nie udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi. Wartość konstytucji mierzy się zawsze postawą kompromisu. Z konstytucji nikt w państwie nie powinien być do końca zadowolony, a jednocześnie powinno jej towarzyszyć przekonanie, że tylko ona zagwarantuje wszystkim pokój i bezpieczeństwo. Społeczeństwo, które nie wierzy w siłę i godność państwa oraz lekceważy kompromis, nie wykazuje „gotowości konstytucyjnej”, znajduje się jeszcze w hobbesowskim „stanie natury”, to znaczy walki wszystkich przeciw wszystkim. Towarzyszy jej kosztowna dla ludzkiego życia niepewność własnego losu. Realność zatem obowiązywania „konstytucji” jako kelsenowskiej normy podstawowej jest zawsze funkcją stabilności „konstytucji” społecznej. I właśnie z tym w Polsce jest problem.

Druga wojna światowa i następujący po niej okres rządów komunistycznych brutalnie zaburzyły ewolucję społeczeństwa od modelu tradycyjnego do nowoczesnego, która w naturalny sposób być może doprowadziłaby nasz kraj do podobnego stanu, jak w niektórych krajach Europy. Ten proces przeobrażeń bynajmniej się nie zakończył. W Polsce nie ma spójnego społeczeństwa: istnieją w nim wyspy modernizmu, a nawet postmodernizmu, otoczone morzem tradycjonalizmu. Różny jest towarzyszący poszczególnym grupom katalog wartości, a przez to istnieje niewielkie poczucie wspólnoty interesów oraz gotowości do kompromisu w imię dobra wspólnego. Dynamiczny rozwój gospodarczy ostatniego ćwierćwiecza wymusił wprowadzić przyspieszone procesy dostosowawcze, lecz jednocześnie wywołał dolegliwe skutki uboczne. Wiele spraw przy tym zaniedbano.

Społeczeństwo znajduje się dzisiaj w stanie *anomalii*, to znaczy znacznej dezorientacji w kwestii obowiązywania norm i wartości. Gdyby było inaczej, to głoszone przez niektórych polityków hasła „wygaszenia Trybunału” zostałyby otwarcie wyśmiane. Głoszenie takich idei – jawnie sprzecznych z Konstytucją – jest smutnym dowodem, że nihilizm prawny na najwyższych szczeblach władzy jest dzisiaj uważany za postawę tak samo uprawnioną jak legalizm.

Co więc będzie dalej z Trybunałem Konstytucyjnym i z Konstytucją?

Przypomnijmy sobie kazus Austrii z 1933 r.: ówczesny rząd Dollfussa podważył „nieprawidłowy wybór” trzech sędziów austriackiego TK, a następnie doprowadził do ustąpienia dalszych czterech. To wywołało całkowity paraliż tego organu na okres aż do 1946 roku. Funkcje kontroli konstytucyjności formalnie przekazano na mocy konstytucji z 1934 r. Trybunałowi Związkowemu (czyli ówczesnemu austriackiemu SN), tworząc w nim osobny Senat Konstytucyjny – tyle że w praktyce był to i tak gest pozbawiony znaczenia.

Nie twierdzę, że opisana analogia jest pełna. W Polsce nadal jeszcze istnieją instytucje demokratycznego państwa. Jednak ten przykład dowodzi, że stan sądownictwa konstytucyjnego służy za papierek lakmusowy realnego demokratyzmu. Zwłaszcza bowiem wtedy, gdy następuje swoista fuzja funkcji władzy ustawodawczej i wykonawczej (a tak działa tzw. system parlamentarno – gabinetowy), musi istnieć silna przeciwwaga dla niemal omnipotentnej legislatury. Jeżeli jej brakuje, to bez względu na to, czy wybory są jeszcze wolne, państwo przestaje być praworządne. O tym, jak potrzebna jest kontrola konstytucyjności, wiemy co najmniej od wykładu Hansa Kelsena z 1929 r. o istocie i rozwoju sądownictwa konstytucyjnego. Od tamtej pory historia nauczyła część z nas (choć być może nie wszystkich), jak ważne jest przestrzeganie zwłaszcza praw podstawowych.

Spór o sądownictwo konstytucyjne na przestrzeni dziejów jest jednak czymś normalnym. Już pod koniec XVIII w. dyskutowali o tym ojcowie założyciele USA: Alexander Hamilton i Thomas Jefferson. Podczas gdy pierwszy z nich uważał orzekanie o konstytucyjności prawa przez sądy za naturalny element sędziowskiego imperium, drugi ostrzegał, że wejście w domenę zarezerwowaną dla ustawodawcy czyniłaby z władzy sądowniczej „despotę”. Wybór pomiędzy tymi racjami przypomina klasyczne ważenie wartości, ale wiemy, że próbę czasu wytrzymała opinia Hamiltona, a nie Jeffersona. Sądownictwo konstytucyjne w USA, począwszy od słynnego orzeczenia z 1803 r. w sprawie *Marbury przeciwko Madisonowi*, pięknie zapisało się na kartach historii.

Przywołanie kazusu amerykańskiego skłania do poczynienia jeszcze jednej, ważkiej refleksji. W dzisiejszym dyskursie prawników polskich powraca pytanie, czy spór wokół Trybunału Konstytucyjnego dałoby się „obejść” przez bezpośrednie

stosowanie Konstytucji RP przez sądy powszechne, wojskowe i administracyjne oraz Sąd Najwyższy, z powołaniem się na art. 8 ust. 2 Ustawy zasadniczej.

Skorzystania z takiej opcji nie należy z góry wyłączać, gdyby TK został de facto pozbawiony możliwości orzekania. Musimy jednak pamiętać, że polski porządek konstytucyjny nigdy nie uznawał rozproszonej kontroli konstytucyjności. Powszechna skuteczność wyroków na kształt anglosaskiej doktryny *stare decisis* jest prawnikom kontynentalnym (przynajmniej formalnie) obca. Jeżeli każdy sąd na własną rękę miałby decydować o obowiązywaniu ustawy, co byłoby prawem? Działalność Trybunału Konstytucyjnego należy więc uważać – przynajmniej jak długo będzie to realnie możliwe – za warunek *sine qua non* eliminowania wadliwych norm prawnych z systemu prawnego.

Obecnie zasadnicze nie jest pytanie o to, czy sędziowie Sądu Najwyższego (i innych sądów) sami mogą być również „sędziami konstytucyjnymi” – bowiem na razie nie powinni, lecz czy opublikowanie wyroków TK we właściwym dzienniku urzędowym jest warunkiem powszechnego ich obowiązywania?


Publikacja takim warunkiem nie jest i aby być tego pewnym nie trzeba uciekać się do szczytów prawniczych umiejętności przy wykładni art. 190 ust.1-3 Konstytucji. Wystarczy zrozumieć dwie rzeczy. Po pierwsze, sądy są pierwszym i najważniejszym strażnikiem praw i wolności podstawowych i jeżeli sprawa tego wymaga, muszą uczynić wszystko, aby je stronie poszukującej ochrony prawnej zagwarantować. Po drugie, nawet formalnie nieuchylony ze względu na brak opublikowania wyroku – przepis ustawy może nie być stosowany, jeżeli zgodnie z orzeczeniem TK został pozbawiony domniemania konstytucyjności, które dzisiaj nabiera zupełnie nowej treści. Publikacja, czyli publiczne ogłoszenie wyroku w przedmiocie konstytucyjności, jest dokonywana przez skład orzekający i nadaje orzeczeniu trybunalskiemu atrybut „powszechnego obowiązywania” m.in. w stosunku do sądów. Promulgacja, czyli ogłoszenie (i to niezwłoczne) w organie urzędowym, jest jedynie aktem sanacji porządku normatywnego, pożądanym, ale z punktu widzenia sądu niekoniecznym, jeżeli dobro publiczne wymaga sprawiedliwego rozstrzygnięcia. Prawidłowe rozstrzygnięcie tej kwestii wyznaczył Trybunał Konstytucyjny w wyroku z dnia 9 marca 2015 r., K 47/15.

Moje wystąpienie zakończę apelem. Chciałabym prosić wszystkich polskich sędziów, aby mieli odwagę. Dzisiaj nie są oni jedynie „ustami ustawy”, lecz – powiem

to bez cienia patosu i przesady – depozytariuszami wartości polskiej demokracji, a przy tym piastunami władzy publicznej. Tylko od nich zależy, czy polscy obywatele docenią wagę podziału władz oraz obowiązywania i przestrzegania prawa. Sędziowie muszą cierpliwie tłumaczyć zawilości prawa i przez coraz lepsze uzasadnianie orzeczeń przybliżać Konstytucję obywatelom. Niech zatem sądy występują z pytaniami prawnymi, kiedy widzą złe prawo i niech nie stosują tego prawa, jeśli otrzymają wyrok sądu konstytucyjnego, stwierdzający jego niezgodność z konstytucją, choćby wyrok ten nie został promulgowany w Dzienniku Ustaw!

Warto przypomnieć myśli świętego Tomasza z Akwinu, który przyznał, iż mogą być takie prawa, które „nie obowiązują w sumieniu”, a są w istocie bezprawiem. Nie może bowiem być nic ważniejszego niż obecność po właściwej stronie: po stronie własnego, prawnego sumienia.

Dziękuję Państwu za uwagę!

A handwritten signature in black ink, appearing to read 'Luzenow' or similar, with a long, sweeping flourish extending to the right.